





Nasze  
nieskończone  
życia



**LAURA  
STEVEN**

Przełożyła ANNA POCHŁÓDKA-WĄTOREK

JAG  
UAR

Tytuł oryginału: *Our Infinite Fates*

Copyright © Laura Steven, 2025

First published as *Our Infinite Fates* in 2025 by Puffin, an imprint of Penguin Random House Children's. Penguin Random House Children's is part of the Penguin Random House group of companies.

Copyright © for the Polish translation by Anna Pochłódka-Wątołek

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Dominika Gołowin, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Ilustracja okładkowa: Kelly Chong

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Wydawczyni: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorki: Aleksandra Sękowska, Emilia Mazur

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-68383-02-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)


[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

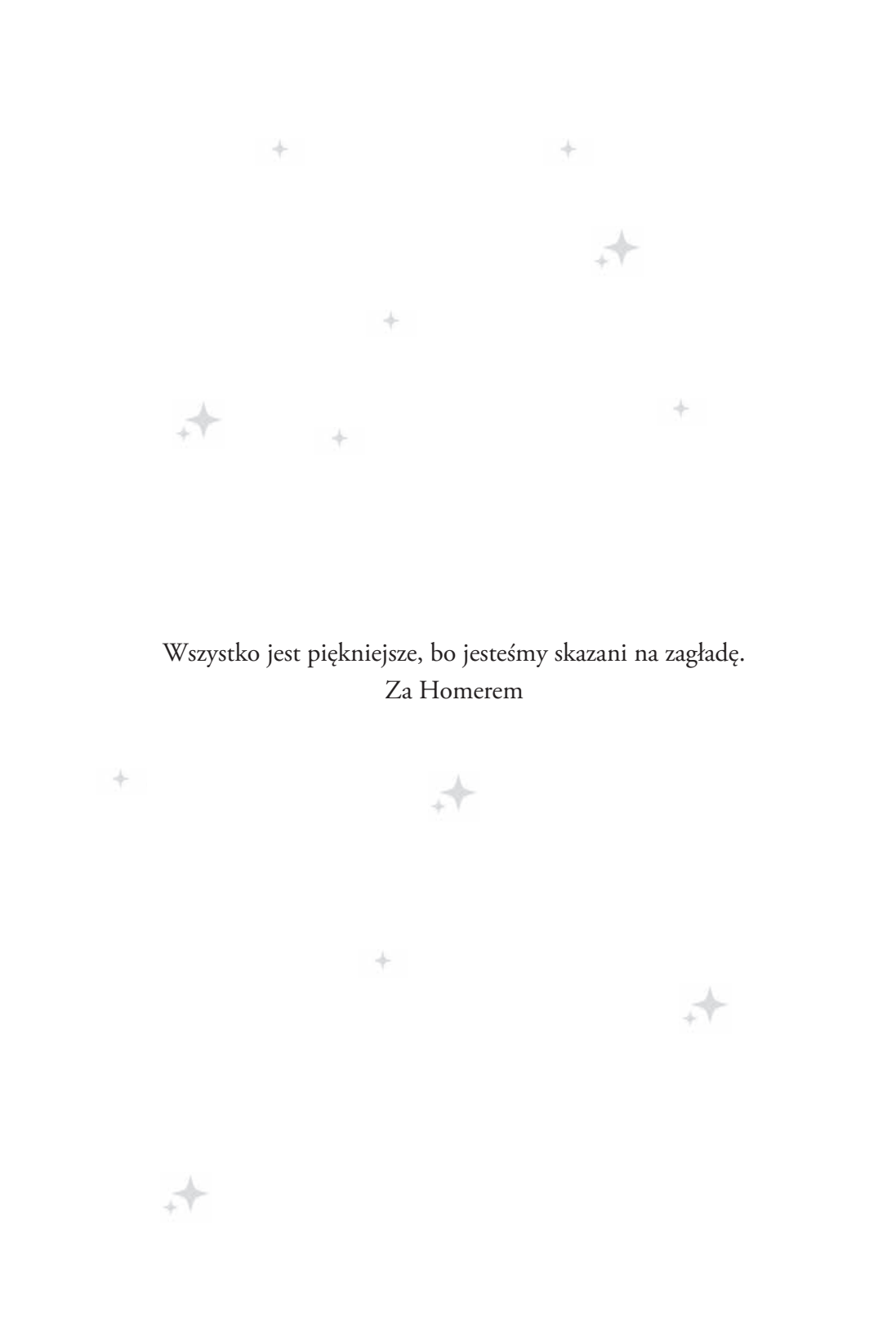
Druk i oprawa: **opolgraf**   
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Hylte 70/1,8.




*Dla Blair, która jest światłością mojego życia*





Wszystko jest piękniejsze, bo jesteśmy skazani na zagładę.  
Za Homerem



Drogie osoby czytelnice,

tłumaczenie i opracowanie redakcyjne tej pięknej powieści było dla nas trudne ze względów językowych, ponieważ pojawiają się w niej postaci w różnych wcieleniach, względem których należało dopasować odpowiednie zaimki oraz formy czasowników. Przyjęliśmy zatem pewne zasady, które w naszej opinii są najłatwiejsze w odbiorze. Było to dużym wyzwaniem, ponieważ w języku polskim tych form istnieje znacznie więcej niż w języku oryginalnym (angielskim), ale zrobiliśmy, co mogliśmy, żeby lektura była dla Was przyjemnością.

Redakcja







PROLOG

KILKASET LAT TEMU

WSTĄŻKA, KTÓRĄ ZWIĄZANO ICH RĘCE, była czerwona jak rana.

Przypadał dobry dzień na wesele, bo kończył się właśnie letni miesiąc Sólmanuður. Smużki drobnych chmur snuły się po jasnym niebie. Morze lizało kamienistą plażę, a popołudniowe słońce przesywało powierzchnię wody fraktalami odłamków złota. Z płytkiej piany wznosiły się krągłe skały, spryskane solą i lekkim echem syrenich pieśni... jeżeli, w odróżnieniu od panny młodej, wierzyło się w takie rzeczy.

Ale wierzyła ona w miłość oraz w stojącego przed nią mężczyznę.

Długie, kasztanowate włosy pana młodego zdobiła miedź. W jego brodę – imponująco gęstą jak na kogoś, kto nie skończył jeszcze osiemnastu lat – wplecione były metalowe kółeczka i gliniane koraliki, a uperfumował ją sosnową żywicą i swoim najlepszym szałwiowym olejkiem. Włożył schludną ciemną tunikę i spodnie, a na ramię wsunął złotą bransoletę. W talii zapiął skórzany pas, przy którym wisiał wspaniały miecz z głowicą wysadzaną rubinami. Pamiątka rodzinna.

Niesymetryczne usta pana młodego rozciągał szeroki uśmiech, jego oczy błyszcząły z radości. Znał pannę młodą od urodzenia, a o tym dniu marzył ponad dziesięć lat. Ona była jak złota nić, biegnąca przez jego życie, która wiązała jego przeszłość i przyszłość w foremną kokardkę.

Panna młoda jednak stała napięta jak sprężyna. Długa, lniana, jaśniutkokremowa sukienka ze srebrnymi koralikami podkreślała jej wysoką, smukłą sylwetkę.

Wszystkie naprężone mięśnie jej ciała trwały w gotowości.

Na poły łowczyni, na poły zwierzyna.

Pan młody praktycznie tego nie zauważył. Za bardzo porwała go chwila, skrzekot mew i miękkie słowa członkini starszyny, która prowadziła ceremonię.

Padły formalności, a oni nie rozłączyli rąk. Czerwoną wstążkę utkano z tuniki należącej do zmarłej matki pana młodego, tak by mogła wciąż odegrać jakąś rolę w uroczystości. I w istocie pan młody czuł obecność swojej matki – zarówno pod postacią widmowej smugi w niewielkiej odległości, jak i krzepiąco solidnego dotyku materiału na nadgarstku. Serce w nim wezbrało, napierając boleśnie na klatkę piersiową.

Zgodnie z osobliwym, wyrażonym z uporem życzeniem panny młodej wymienili się bronią, a nie pierścionkami. Były to noże wykute przez jej brata, a na zakrzywionych, srebrnych ostrzach wyżłobiono Valknut. Odyn był ulubionym bogiem pana młodego – w niewyjaśniony sposób intrygowało go przeplatanie się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, wiekuisty węzeł życia, śmierci i odrodzenia.

Pomarszczona starsza skinęła głową na pana młodego, by ten wygłosił śluby.

– Na światło słońca i potęgę bogów – rzekł pan młody, czując, że w krtani jak kamień więzną mu emocje – przysięgam zawsze cię kochać i czcić.

Wyjął miecz i zdobną w klejnoty rękojeścią dotknął ramienia panny młodej.

Starsza kiwnęła znów głową z powagą, wręcz posepnie.

– Zdaje się, że panna młoda ułożyła własne śluby.

Po zasuszonej twarzy kobiety przemknął dziwny wyraz.

Pogarda?

Panna młoda zadrżała. Marzła stale, odkąd poprzedniego dnia w gorących źródłach pożegnała swoje dziewictwo. Beznamiętne zachowanie starszej budziło w niej niepokój.

Odezwała się do narzeczonego niskim, dźwięcznym jak kryształ głosem:

– Jak falowanie morza i siła pływów miłość się porusza i trwa wiecznie. Nie obawiamy się przybywania i ubywania księżyca, wznoszenia się i upadku, wiekuistego prądu na głębinie. Ilekroć spotkają się nasze dusze, zanurzymy nasze ciała w jaskrawobłękitnym chłodzie, tak by fale nas odnowiły. – Łza spłynęła jej po policzku. – Kocham cię, kochałam i kochać cię będę.

Pan młody przycisnął ciepłe czoło do jej czoła.

– Kocham cię, kochałem i kochać cię będę.

Oczekali kilka chwil, pewni, że zaraz usłyszą, jak starsza błogosławi ich związek. Fala przybiła do brzegu i załamała się spieniona, a ze świeżo rozpalonego ognia, nad którym miało się piec mięso na ucztę, wzbił się tuman dymu.

Milczenie trwało odrobinę za długo, wśród zebranych rozszedł się szmer.

Na zaczerwienionej twarzy pana młodego odmalowała się konsternacja, lecz ciało panny młodej, uprzedzając jej umysł, pojęło, że dzieło się coś strasznego, a w jej piersi na alarm rozdzwonił się dzwon.

Nagle rozległy się cierpkie, ostre słowa brzmiące niczym łopata wbijana w zmarzniętą ziemię.

– Naprawdę sądziliście, że was nie znajdę?

Państwo młodzi jednocześnie podnieśli wzrok z przerażeniem i spojrzeli w oczy starszej, gorejące jak głownie. Jej pomarszczona twarz zaczęła się wygładzać, paznokcie się wydłużały, potężniały, czerniały.

Pan młody zatoczył się do tyłu. Panna młoda bez wahania wzięła zamach ślubnym nożem i przecięła mu gardło, tworząc szczelinę na kształt ust, z której bulgotała krew.

Łapał oddech, ale bezskutecznie.

Przez jego twarz przemknął szok, potem mężczyzna runął na kamienny brzeg.

Panna młoda padła sekundę później, mimo że jej gardło pozostało nienaruszone. Zakrwawione ostrze wypadło jej z ręki, Valknut bez ustanku błyskał w obojętnym blasku dnia.

Ostatnim, co widzieli, nim świat znikł im z oczu, była czerwona wstęga przeznaczenia, która wciąż wiązała im ręce.



STÓŁ W JADALNI ZASTAWIONO SUTO, lecz pochowano wszystkie noże do krojenia. Tylko tego nam było trzeba, żeby ktoś dziabnął oligarchę nad półmiskiem *carne asada*\*.

Przy stole do bankietu zasiadło nas dwanaścioro: rodzina Sola po jednej, Quinonez po drugiej stronie. Wokół nas krzątali się służący, podający błękitne talerze, na których piętrzyły się pupusy\*\* i frytki z juki. Błask ognia migotał na srebrnych świecznikach, a kroki odbijały się echem od sklepienia. W powietrzu unosił się aromat przypieczonego mięsa i kolendry.

– Jak wyrób *pacamary*? – zapytał Papa, starając się ukryć napięcie w głosie. Nasi goście byli właścicielami rozległej plantacji kawy w Chalatenango. – Kiepsko rośnie w tym roku, prawda? Sezon deszczowy nie dopisał.

Señor Quinonez poprawił się na drewnianym krześle.

– Rafael eksperymentuje z nowymi metodami obróbki i osiąga wyjątkową jakość. – Wbił w ojca butne spojrzenie. – W przyszłym tygodniu spotykamy się z dużym nabywcą z Europy.

\* *Carne arsada* — potrawa z wołowiny, najczęściej z łaty, grillowanej w aromatycznej marynacie i pokrojonej w cienkie plasterki. [Wszystkie przypisy od redakcji i tłumaczki.]

\*\* *Pupusa* — gruby, tradycyjny podpłomyk z mąki kukurydzianej albo ryżowej; w Salwadrze ma własne święto.

– Miło to słyszeć – wycedził Papa przez zęby. Dało się jednak zauważyć, że wcale nie było mu miło.

Słyszał z wybuchowego temperamentu, nieprzerwanego przeklinania i zapalczywości, ale ja wiedziałam, że w głębi jego serca kryje się tkliwość. Sympatia do rocka, zamiłowanie do architektury, fantastyczne poczucie humoru. Szczere uwielbienie swoich dzieci, ujawniające się nie w sentymentalnych komplementach czy bajkach na dobranoc, lecz w tym, że zaharowywał się do upadłego, żeby zapewnić nam godne życie.

Tęskniłam za nim, choć jeszcze nie odeszłam – była to swego rodzaju uprzednia żałoba, do której z upływem ostatnich kilku wieków bardzo przywykłam. Bezskutecznie usiłując się bronić, mój umysł ćwiczył się w utracie, jeszcze zanim śmierć zacisnęła palce, jak gdyby trening miał osłabić cios. Nie osłabiał.

Od osiemnastych urodzin dzieliło mnie zaledwie parę dni.

Co oznaczało, że niebawem umrę.

A w następnym życiu Papa będzie tylko nieznanym.

Mimowiednie uważnym spojrzeniem taksowałam gości, a potem służących kręcących się wokół stołu. Wypatrywałam tej iskry, tego przyciągania, tego... czegoś.

Lecz nie zawiesiłam oka na niczym – ani nikim – podejrzanym.

Lustrowanie twarzy stanowiło paranoiczny odruch, równie dla mnie naturalny jak oddychanie. Hiperczułość nigdy wcześniej mnie nie ocaliła, lecz to nastawienie weszło mi w krew tak głęboko, że niepodobna je zmienić.

– *Buen provecho*\* – ogłosiła Mama, zapraszając gości gestem, by zabrali się do jedzenia. W białej sukience z bufiastymi rękawami i z czerwoną szminką na ustach prezentowała się jak idealna gospodyni, lecz wokół jej oczu rysował się stres.

\* Smacznego (hiszp.).

– Będzie dobrze, mamó – szepnęłam do niej w kuchni, nim przyjechali. – Wszyscy chcecie po prostu jak najlepiej dla swoich dzieci. Tylko to się liczy.

Ścisnęła mi rękę, wzdychając.

– Zawsze upatrujesz w ludziach to, co najlepsze. W sytuacjach. Nie wiem, skąd się wzięłaś, *mi rayo de sol\**, ale mam nadzieję, że nigdy się nie zmienisz.

*Familia\*\** Sola i *Familia* Quinonez niegdyś się przyjaźniły, lecz stały się zagorzałymi wrogami. W dwudziestym wieku na ogół miewaliśmy zbieżne interesy – nasze plantacje stykały się na granicach – aż do momentu gdy po wybuchu wojny domowej obie farmy zostały zniszczone przez przypadkowego podpalacza. Rodziny obwiniały siebie nawzajem i twierdziły, że próba sabotowania konkurencji zemściła się na własnej ziemi sąsiadów.

Teraz zawarto tymczasowy rozejm, bo moja naiwna siostra Silvia zakochała się w najstarszym synu Quinonezów, a nasi ojcowie woleli, by do ewentualnego rozlewu krwi doszło przed weselem.

– No więc – zagał Señor Quinonez, sygnalizując koniec gadki-szmatki. Nabił na widelec kawałek przyczernionej wołowiny i zastygł z mięsem w połowie drogi do ust.

Papa się skrzywił.

– No więc.

Señor Quinonez przymrużył powieki i obaj panowie zamilkli.

– Może darujemy sobie szopkę w stylu Kapuletów i Montekich? – zaproponowałam wesoło i wepchnęłam sobie frytkę z juki do ust. – Przez wzgląd na dzieci?

Może postępowałam nieco nieostrożnie, ale na swoją obronę powiem, że byłam nieśmiertelną istotą, która miała zginąć lada dzień.

---

\* Promyku słońca (hiszp.).

\*\* Rodzina (hiszp.).

Zawsze tak się działo, gdy zbliżała się moja śmierć: rozwiązywał mi język, wyjawiałam sekrety, mówiłam na głos to, co należało powiedzieć, lecz co zawsze przemilczano.

Mama obrzuciła mnie karcącym spojrzeniem, a Rafael Quinonez – średni syn, siedzący po drugiej stronie stołu – zdusił śmiech. Ciemnobrązowe włosy okalały jego twarz falami, a usta drgały mu żartobliwie.

– *No seas tan dunda\** – syknęła moja milcząca zwykle babka. Bez ustanku nalegała, bym nie była taka głupia.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie chcę nikogo urazić. Po prostu uważam, że wszyscy powinniśmy się cieszyć. W końcu w powietrzu czuć miłość. *Love is in the air.* – Ostatnie słowa wyśpiewałam fałszywie i z entuzjazmem, a Rafael mimo woli parsknął śmiechem.

Papa zgromił mnie ostrzegawczo wzrokiem.

– Adello, musisz...

– Iść się przewietrzyć? – Uśmiechnęłam się słodko i wstałam, a moja siostra rozdziawiła buzię. – Zgadza się.

Nie oglądając się za siebie, sforsowałam podwójne mahoniowe drzwi wiodące na podwórze umiejscowione w samym środku domu. Usłyszałam jeszcze, jak mój ojciec przeprosza za wygłupy swojej córki, na co señor Quinonez burknął, że odziedziczyłam talent wokalny po Papie.

Lody przełamane.

*Nie ma za co, Silvio.*

Nie obawiałam się konsekwencji – gniew ojca mnie nie zabije.

Tylko jedno – jedna osoba – potrafi to zrobić.

Powietrze na zewnątrz było ciepłe i nieruchome. Tabebuje, *maquilishubat*, były w pełnym rozkwicie – różowe trąbkowate kwiaty trzepotały

\* Nie bądź taka głupia! (hiszp.)



uwodzicielsko jak tancerki w rozłożystych spódnicach. Pootwierano wszystkie kobaltowe okiennice.

Przeszłam po terakocie w stronę niewielkiego nerkowatego basenu znajdującego się w przeciwległym rogu. Częściowo zacieniało go drzewo pomarańczowe, a przy mętnych brzegach gromadziły się zielone glony. Zdjęłam espadryle i podkasałam zwiewną spódnicę – błękitną, wyszywaną w czerwone i złote róże – a potem przysiadłam na brzegu i zanurzyłam stopy w chłodnej wodzie. Z domu przez zakratowane okno usłyszałam, jak jakiś służący upuszcza coś i zdusza przekleństwo: *¡Puchica!*\*

Podwoje otworzyły się znów i zamknęły z trzaskiem, wyzwoliwszy eksplozję roznamiętnionych głosów. Przez moment sądziłam, że to moja matka przyszła, by mnie złącać za pyskowanie.

Ale to nie była Mama.

Lecz Rafael.

Średni Quinonez i ja uczęszczaliśmy do tej samej prywatnej szkoły i chadzaliśmy do tych samych zadymionych klubów. Mimo to obracaliśmy się w różnych kręgach. Łączyła nas swoista stylizowana niechęć, choć często brakowało jej głębi, na którą zapewne liczyli nasi ojcowie. Tak czy owak, w rzeczywistości niespecjalnie mnie obchodził.

Mimo tego, gdy zobaczyłam, że podchodzi, oddech uwiązał mi w krtani.

*Czyżby...?*

Nie. Nigdy w jego obecności nie nabierałam nawet najbliższych podejrzeń.

– *¿Que onda?*\*\* – zapytał, gdy się zbliżył.

Nie odpowiedziałam, tylko zmierzyłam go spojrzeniem zza przy-mrużonych powiek.

---

\* Cholibka! (hiszp.)

\*\* Co tam? (hiszp.)

– Śmieszna byłaś. – W jego głosie czaił się uśmieszek, zakrawający wręcz na flirt. – Jakby ci nie zależało, co się z tobą stanie.

Wzruszyłam ramionami, starając się powściągnąć pędzący nierówno oddech.

– To wszystko jest takie...

Nie zdążyłam dokończyć zdania.

Przy gardle miałam nóż.

Ostry zastrzyk adrenaliny, ssanie w dołku. Ostrze było ciepłe, bo trzymał je w kieszeni.

Westchnęłam ze zniecierpliwieniem i przymknęłam oczy.

– Do kurwy nędzy, Arden.

Powiedziałam to tonem szyderczym i znudzonym, lecz serce dziko waliło mi w piersi. Nieważne, ile razy już mnie mordowano – związane z tym cierpienie nigdy nie malało.

A gwoli prawdy, ani przez chwilę nie podejrzewałam Rafaela.

Arden się wyrabia.

Jak mogłam się nie domyślić? Jak to możliwe, że nie poczułam tych szarpiących duchowych troków, tego intymnego magnetyzmu? Jaką mogę mieć nadzieję, że się ochronię i przetrwam, skoro nawet nie dostrzegam zbliżającego się zagrożenia?

– Szkoda – mruknął, a jego oddech musnął moje ucho jak jedwabny szal. Przyklęknął za mną na jedno kolano, jakby się oświadczał. – Adella Sola do ciebie pasowała.

Przełknęłam ślinę z wysiłkiem, a nóż zadrasnął mi skórę.

– Zazwyczaj najpierw mnie w sobie rozkochujesz.

– Naszła mnie ochota na trochę urozmaicenia.

– Pieprzysz.

Ze wszystkich sił walnęłam go tyłem głowy w twarz, miażdżąc mu nos, z którego buchnęła krew. Przewrócił się ze stękiem, a nóż odsunął się od mojego gardła.

– Na Syberii ucierpiałeś tak samo jak ja. – Wyjęłam nogi z basenu i odturlałam się od niego, krzywiąc się, gdy podrapałam kolana na szorstkich płytkach. – Dlatego tym razem trzymałeś się na dystans?

– Myśl, co chcesz.

Rzucił się naprzód, mierząc ręką ze szczyrykiem w moją klatkę piersiową.

W ostatniej chwili zrobiłam unik. Wykorzystując przeciwko niemu bezwładny pęd jego ciała, złapałam go za włosy na karku i grzmotnęłam jego głową w grunt. Od uderzenia zawibrowała mi ręka, tak jak wtedy, gdy zeskoczy się ze zbyt wysokiej gałęzi drzewa i trzęsą się kolana.

Bezwładna ręka wypuściła nóż, który przemknął po płytkach. Rafael nie stracił przytomności, lecz zdecydowanie był otumaniony.

Krew huczała mi w uszach. Chwyciłam drewnianą rękojeść ostrza, a potem przetoczyłam średniego Quinoneza, tak by leżał na plecach. Jęknął niewyraźnie, gdy na nim usiadłam, przyciskając go kolanami z obu stron, a jakiś zdradziecki, wewnętrzny impuls ożył, gdy poczułam pod sobą jego ciało.

*Skup się.*

Tym razem chciałam patrzeć mu w oczy, zabijając go.

Inaczej niż w Nauru.

Przycisnęłam końcówkę noża pod jego podbródkiem.

– I wciąż nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego w każdym życiu na mnie polujesz.

– Znieważa mnie, że nie pamiętasz.

Szarpnął mocno biodrami na bok, usiłując mnie z siebie zrzucić, i zrobił to tak nagle i z taką siłą, że mu się udało.

Klinga przecięła mu gardło, gdy oboje wpadliśmy do basenu.

Miotał się i krztusił wodą i własną, tryskającą krwią. Woda była cieplejsza i gęstsza, a nóż wyslizgnął się z mojej słabnącej już dłoni. Łapałam

powietrze, czując chlor w ustach i nosie, rękami odpychałam go, a może przyciągałam do siebie w dezorientującej feerii turkusowych fliz i metalicznego szkarłatu kłębiącego się w wodzie.

A potem, jakby struny naszego życia były fatalnie razem splecione, moje tętno również zaczęło słabnąć.

Tak jak słońce zapada za horyzont, jak nieśpieszna, gasnąca muzyka.

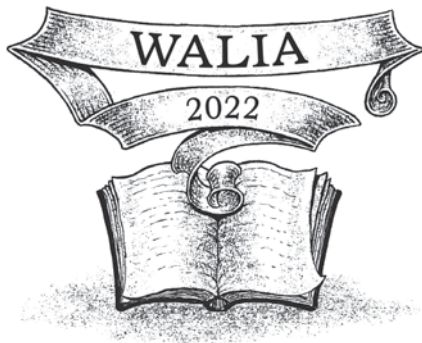
Stara krew odpływająca cienką ulotną strużką.

Mignęło mi przed oczami to krótkie życie. Okropny śpiew ojca, zmarszczone brwi siostry, gdy malowała akwarelami, stukające o siebie druty babki, gorące popołudnia z matką w zakurzonej mieście, woń gliny, kawy i żaru... wszystko od samego początku skazane na zagładę.

Przeszła mnie ostra, przytłaczająca żaloba. Utrata nigdy nie stawała się łatwiejsza, wykorzenienie z historii nie przestawało dezorientować.

Parę chwil po ostatnim, chrapliwym oddechu Rafaela ciemność wdzierająca się w moje pole widzenia wreszcie pochłonęła mnie bez reszty. Unosiliśmy się w karmazynowej sadzawce i nasze serca jednocześnie przestały bić.

Jak za każdym cholernym razem.



TRAGEDIA CZĘSTO DOTYKAŁA RODZINĘ BLYTHE i zadawała dotkliwie ciosy niczym rzeka zalewająca te same nieszczęsne domy rok w rok. I nie miało znaczenia, jakie wały obronne usiłowali wznieść – nie dało się przechytrzyć tego żywiołu, aktu Boga czy samego diabła. Ludzką głupotą, hubris, pychą było sądzić, że zdołamy zaskoczyć siły takie jak pory roku czy czas, że uda nam się zbudować zaporę, która powstrzyma życie i śmierć. Lecz mimo to próbowaliśmy.

Gdy miałam osiem lat, pijany kierowca zabił w Wigilię mojego ojca, gdy ten wracał do domu z pubu. Przyciśnięty do kamiennego muru, był miażdżony, aż oczy wezbrały mu krwią, aż wszystko w jego ciele popękało i się rozpadło. Tragedia – choć nie pierwsza i z pewnością nie ostatnia.

Kilka miesięcy później pochowaliśmy jego rodziców: ukochanych babcię i dziadka. Poumierali jedno po drugim na zawał serca i udar jak dwa klocki domina zbyt zdruzgotane, by nadal stać.

Na domiar złego mniej więcej w wieku ośmiu lat zaczynałam sobie przypominać swój ostateczny los. Na ogół świadomość pojawiała się najpierw stopniowo – wyczuwałam czającą się na horyzoncie burzę, a może bombę atomową, lecz nie pojmowałam w pełni, co i jak. A wtedy przedzierał się jakiś obraz: nóż w piersi, garota na szyi,

trucizna w sercu... i sobie przypominałam. Kolejne sześć, siedem czy osiem lat ciągle się zastanawiałam, jak i kiedy Arden znów zaatakuje.

Jak i kiedy mnie zabije.

Borykanie się z własnym nadchodzącym zgonem to jedno, ale zmaganie się z tym, gdy straciło się połowę rodziny, to coś innego. Jedno życie po drugim, okrucieństwo za okrucieństwem i nieznośny ciężar człowieczeństwa zaczynały mnie wyniszczać. Ten nieustanny cykl miłości i utraty, nieuchronny i naturalny jak pory roku.

Lecz mimo to zawsze próbowałam wznosić tamę.

Dwa tygodnie przed osiemnastymi urodzinami siedziałam w szpitalu, gdzie zmarli moi dziadkowie, i przyglądałam się, jak moja łysa siostra gra na skrzypcach.

Ostatnia nuta wybrzmiała gładko jak aksamit. Gładkie klonowe drewno było zatknięte pod szpiczasty podbródek. Wyraz koncentracji na twarzy siostry ustąpił, gdy podniosła oczy wyczekująco.

– Przepraszam. – Mama pociągnęła nosem, ocierając powieki chusteczką. Wstała prędko i wyszła z sali, trzepocząc szalem w turecki wzorek. Bez jej lawendowych perfum było czuć stęchły szpitalny zapach.

Gracie przewróciła piwnymi oczami i odłożyła skrzypce na kolana.

– Może trzeba było wybrać mniej melancholijny instrument. Na przykład perkusję. Albo ukulele. Jak przypuszczamy, czy pielęgniarki utną mi głowę, jeśli zacznę grać na banjo? – Rozpoznawałam w jej głosie własny rezolutny sarkazm. Mały dzieciak naśladuje brawurę starszej siostry.

– Mama się po prostu boi – powiedziałam. – Jesteś jej maluszkiem.

– Mam czternaście lat – odparowała Gracie, jakby to kończyło temat.

U Gracie zdiagnozowano białaczkę mniej więcej rok temu, kiedy wreszcie się przebadła, by się dowiedzieć, dlaczego bez przerwy chodzi posiniaczona. Przyjęła to całkiem stoicko, choć odnosiłam przemożne wrażenie, że jej postawa miała zwalczyć duszący smutek mamy.

Rozumiałam to, oczywiście, choć niekiedy złościło mnie, że nie potrafi robić dobrej miny przez wzgląd na Gracie.

Gwoli prawdy, myśl, że moją siostrę mogłoby spotkać coś złego, mnie również dotkliwie bolała, mimo że zapewne nie będę już tego oglądać. Kochałam wiele swoich siostr i braci w wielu dotychczasowych życiach, ale Gracie stanowiła bezapelacyjną faworytkę. Przenikliwa, ekscentryczna, bystra w całkowicie niepowtarzalny sposób. Tętniąca życiem. Wizja jej pustego ciała w zimnym, wilgotnym grobie zakrawała na takie niepodobieństwo, że zginałam się w pół na samą myśl o tym.

A gdy myślałam, że moja mama będzie zupełnie sama w tej wielgachnej zagrodzie – niegdyś pełnej rodziny, którą uwielbiała – ból rozszczępiał mnie na dwoje. Ale do tego nie dojdzie. Ja na to nie pozwolę.

Gracie skinęła w stronę beżowego plastra na moim ramieniu.

– Jak tam dzisiejszy zastrzyk?

Lekarze przygotowywali mnie do oddania komórek macierzystych.

– Do chemii nie ma porównania.

– Bo masz rozległe doświadczenia z chemioterapią.

Zwinęłam włosy w koczek.

– Słynie z tego, że to paskudztwo.

A mimo to cud. Żyłam na tyle długo, że pamiętałam brzeszczoty piłujące kości, zęby zaciskające się rozpaczliwie na przemoczonych szmatach... wysiłki tak brutalne i tak bezowocne. Współczesna medycyna zadziwia.

Gracie popatrzyła zazdrośnie na moje włosy. Miała kiedyś takie same gładkie kaskady miedzi.

– Jestem lekko łysawa, trzeba to przyznać. Chociaż zawsze byłam ekscentryczna, więc może stercząca czacha pasuje mi do wizerunku. Może zacznę nosić kosę, żeby ludzi serio ciary przechodziły.

Nagle przed oczyma stanął mi przesywający obraz: sierp wsparty o ciemny, kamienny mur.

Czułam instynktownie, że jest ogromnie istotny, a mimo to nie towarzyszył mu żaden kontekst.

Te przebliski przeszłości zdawały mi się maleńkimi, rozszczępionymi fragmentami gigantycznej mozaiki, a pełen ogląd zawsze pozostawał poza moim zasięgiem. Jak przy obrocie kalejdoskopu układ elementów zmieniał się, ilekroć zbyt mocno próbowałam go przeanalizować.

Pamiętałam ostatnie pięć czy sześć żywotów w pełnej krasie: widoki, zapachy, emocje, ukochanych ludzi, których opuściłam, każdy rys nowej twarzy Arden. Lecz życia wcześniejsze traciły szczegóły, w miarę jak sięgały coraz głębiej wstecz, aż wszystko zamazywała mgła.

Od czasu do czasu nachodził mnie nowy detal, wyrazisty, uderzający, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, jak wpasowuje się on w szeroką panoramę mojej osobliwej egzystencji. Rozpoznawałam szereg ponurych stosów pogrzebowych przy falującej przystani, gaj oliwny w nakrapianej słońcem Andaluzji, statek handlowy na smaganych wichrami pustkowiach Oceanu Indyjskiego, lecz szczegóły zginęły w pomroce czasu... albo mojej własnej żalostnej pamięci.

A pod spodem, spowite rozlicznymi warstwami miłości, strachu, zagubienia, bólu, zgryzoty, gniewu... kryło się pytanie dlaczego.

Pytanie, na które odpowiedź wymykała mi się od wieków.

W ciągu setki żywotów rozważałam to „dlaczego” pod każdym możliwym kątem, od ludzkich i trywialnych (uraza, rywalizacja, zakład) po nadprzyrodzone i tajemne (pradawna klątwa, pakt z diabłem, wyjątkowo złośliwy troll spod mostu). Niekiedy przebliskiwała przyczyna, prawda – na przykład gdy w najciemniejszym zakątku Syberii dowiedziałam się, że nasz los przypięczętowała umowa zawarta wieki temu – lecz nie było to nic na tyle konkretnego, by rozwinąć pytanie dlaczego w krzepką strukturę.



A z jakiejś niewiadomej, przeklętej przyczyny Arden w żadnym swoim dotychczasowym wcieleniu nie wyjawilo, jaki byl nasz początek.

Tak się zatopiłam w myślach – tak mnie pochłonał ostry jak brzytwy obraz sierpa wspartego o mur z ciemnego kamienia – że nie słyszałam, jak Gracie mówi.

Czy raczej deklamuje.

– „...myślałem, jak to jest cię obejmować, każde tve wcielenie” – recytowała, trzymając w bladych rękach oprawny w skórę tom wierszy. – „Miłość nasza rozkwita od nowa, rok po roku, wiek po wieku, nowe kwiaty rosną ze starych korzeni, wiekuiste ziarnko, z którego życie zawsze rozkwitnie”.

Mignęło mi w pamięci coś nieuchwytnego, czego nie potrafiłam umiejscowić.

– Co to?

*Miłość rozkwita od nowa, wiek po wieku?*

Dziwny zwrot, nieprzeciętny u poety.

Gracie wzruszyła ramionami obojętnie i rzuciła książkę na łóżko obok swoich przykrytych kocem nóg.

– Jakiś tomik poezji. Becca mi przyniosła, kiedy mnie ostatnio odwiedziła. – Becca była najlepszą przyjaciółką Gracie, równie jak ona rozmiłowaną w makabrze. Nosila się wyłącznie na czarno i wypowiadała się przesadnie ściszym głosem, by zamaskować naturalnie wesoly tembr. – Zorganizowała cały pakiet wsparcia. To trochę tragiczne.

– Dobra, ale co to za książka? – Przysunęłam się, by popatrzeć na okładkę.

*Dziesięć stuleci ciebie.*

Serce nienaturalnie zamarło mi w piersi.

– Wiralowa sensacja – rzuciła Gracie pogardliwie. Z zasady wystrzegala się popkultury. – Poważnie, co Becca sobie myślała? Mam

raka, a nie zły gust. A skoro o tym mowa, jestem zaszczycona, że nadal nosisz naszyjnik.

Gracie skinęła w stronę czarnej wstążki przewiązanej na mojej szyi.

Uniosłam rękę do brzydkiej „biżuterii”, którą zrobiła dla mnie parę tygodni temu. W charakterze wisiora występował kawałek kości z piersi kurczaka, którego używa się do wróżb i który wciąż wydzieliał lekki aromat pieczonego tymianku. Było to przeohydne, ale po jej triumfalnej minie, kiedy mi to wręczała, zorientowałam się, że to wyzwanie. Musiałam udawać, że jestem zachwycona, i nosić to cały czas, mimo że dosłownie było to truchło. A gdybym zdjęła naszyjnik, miesiącami wzbudzałyby we mnie poczucie winy.

Przygryzłam wargę, starając się wyrzucić z pamięci osobliwie adekwatny tomik poezji.

– Tak. Jest piękny.

Zacisnęła wargi, za wszelką cenę usiłując się nie roześmiać.

Z korytarza dobiegł nagły, metaliczny grzechot, jakby wózek ze sprzętem się przewrócił. Poderwałam się na krzesło. Nie wyciszyłam się w pełni od czasu doświadczeń na froncie pierwszej wojny światowej... jak gdyby to, że w każdej egzystencji ktoś poluje na mnie jak na zwierzę, nie wystarczało, by mieć nerwy w strzępach.

Patrzyłam przez chwilę w drzwi, jakby spośród harmidru miało się wyłonić Arden, lecz nie zmaterializowała się żadna mordercza sylwetka.

– Co zrobisz zaraz po tym, jak stąd wyjdiesz? – zapytałam siostrę nieco drżącym głosem, jakby kruche pręty w klatce nieco się poluzowały. – Bo wyjdiesz stąd, Gracie. Obiecuję.

Absurdalne, że autentycznie w to wierzyłam.

– Skąd ta obsesja na punkcie tego, co może zrobimy w przyszłości? – zapytała Gracie, uśmiechając się ironicznie. – Straszna z ciebie marzycielka.

– Mówisz tak, jakby to była śmiertelna choroba.

Popatrzyła na mnie znacząco.

– Znalazłam twoją potwornie tragiczną listę. Co zrobisz, kiedy będziesz dorosła... jakby dorosłość to był jakiś mityczny stan.

Policzki mnie zapiekły. Prowadziłam taką listę w każdym życiu, które pamiętałam – wypełniałam ją tym, co zrobię, kiedy zrzucę z siebie klątwę i wreszcie zacznę żyć. Bo skoro można sobie wyobrazić jakąś przyszłość, to na pewno, na pewno musi istnieć naprawdę, musi być możliwa.

– Optymistka ze mnie, okej? No więc co zrobisz, kiedy się od tego uwolnisz?

Gracie zastanawiała się nad pytaniem, muskając odruchowo palcami struny skrzypiec.

– Pójdę na cmentarz.

– Dlaczego?

Spodziewałam się, że wygłosi jakieś głębokie słowa – o tym, że odwiedzi groby bliskich albo złoży wyrazy szacunku przyjaciółom, którzy nie przeżyli.

Podrapała się po brodzie.

– Jeden z moich dawnych nauczycieli zmarł. Powiedział kiedyś, że jestem „niepokojąca”. Korci mnie, by zbeczczyć mu nagrobek.

Kiedy już przestałam się zanosić zszokowanym śmiechem, zerknęłam na wąski złoty zegarek i wzdrygnęłam się, widząc, która godzina.

– Cholera, spóźnię się do pracy.

Wzięłam plecak z podłogi pokrytej wytartym linoleum i wstałam niechętnie. Wzrok mi się zmącił i rozmazał. Od igieł kręciło mi się w głowie, ale żałośnie byłoby narzekać na coś takiego, jeśli wziąć pod uwagę, przez co przechodziła Gracie. Poza tym to bez sensu. Kiedyś granat rozerwał mi tułów, ale Boże broń, gdyby wyszkolony pracownik służby zdrowia miał zasugerować pobieranie krwi.

Przekartkowała nuty na stojaku obok łóżka, poprawiła sobie cienki niebieski koc, wzięła skrzypce i powiedziała:

– Cześć, Otrębranusiu.

Mimo że aż do szpiku kości byłam Evelyn, przewisko, jakie mi nadała, stanowiło jedną z wielu przyczyn, dla których tak swojsko się czułam jako Branwen Blythe.

Zarzuciłam sobie plecak na ramię i pocałowałam Gracie w czoło.

– Też cię kocham, Owsiankowy Ryjku.

– Nie wolno się napięprzać z karnacji chorej na białaczkę! – ryknęła za mną. – Ty nieczuła skurwysynko!

Obejrzałam się na nią przelotnie, nim wyszłam. Miłość wezbrała w moich płucach jak balon.

To właśnie Gracie ja i mama zawdzięczałyśmy to, że po śmierci taty nie oszalałyśmy. Była za mała, by pojąć powagę sytuacji, więc przez kolejne parę miesięcy opowiadała okropne wymyślone żarty, w weneckiej masce wygłaszała dramatyczne monologi i w najwyższych szpilkach mamy tańczyła fokstrota po salonie, podczas gdy płakałyśmy przy kominku. Była jednocześnie promienna jak blask słońca w ludzkiej postaci i mrocznie gotycka. Jedno z pierwszych pełnych zdań, jakie wypowiedziała, brzmiało: „Cienie są dziś bardzo cicho”.

Przez bite pół roku ubierała się w odzież w paski i o każdej porze dnia i nocy odstawiała pantomimy. Nauczyciele szczerze chcieli się gniewać, ale nie sposób było się nie śmiać z jej karykaturalnych min i starannie wyreżyserowanych popisów.

Urodzona aktorka. Nieskalana dziwaczność.

To ogromnie niesprawiedliwe, że z kogoś tak tętniącego życiem brutalna choroba mogła całe to życie wysssać. A jednak mimo że utraciłam wiele osób w wielu życiach, ja mogłam ocalić.

Nieczęsta to moc. Dar w losie pełnym klątw.

Musiałam tylko pożyć na tyle długo, by to zrobić.

Dokładnie za dwa tygodnie kończyłam osiemnaście lat. Pobranie komórek macierzystych zaplanowano za cztery dni – po ostatnim zastrzyku stymulującym działanie szpiku. Okazałam się jedyną osobą w rodzinie, której tkanki są zgodne z tkankami Gracie – beze mnie musiałaby się zarejestrować w krajowym spisie i czekać w kolejce długiej jak rzeka Wye.

Jeżeli Arden znajdzie mnie przed zabiegiem, bardzo prawdopodobne, że umrze także moja siostra.